

Mrocza kaplica cmentarna — Marek Sikorski

Od autora: Świat jest zupełnie inny, niż o nim myślimy i mamy wyobrażenie. Nasza rzeczywistość to złudzenie, groza i szaleństwo tak wielkie, że wydają się nam to być czymś normalnym i z tego powodu niedostrzegalnym

W starej kaplicy na cmentarzu zapanował już mrok. Ludzie dawno ją opuścili, zamknawszy za sobą drewniane, okute żelazem drzwi. We wnętrzu pozostała tylko czarna drewniana trumna. Ustawiono ją naprzeciwko ołtarza. Wieko stało oparte o katafalk, wokół którego postawiono srebrne olbrzymie lichterze z grubymi świecami. W trumnie leżało ciało mężczyzny ubranego w czarny garnitur. Zmrok wieczorny nie pozwalał na szczegółowe rozpoznanie, lecz bez trudu domyślić się można było, że wszystko w tej kaplicy przygotowane zostało do przeprowadzenia z rana, następnego dnia, uroczystości pogrzebowych.

Zegar w mieście wybił już północ i cichy wiatr przynosił lekkie ciepło, a księżyc swoim bladym światłem oświetlał cmentarz, po którym od czasu do czasu biegały jakieś nocne zwierzęta. W tejże chwili cmentarną ciszę przerwały odgłosy mocno stawianych kroków. Do kaplicy zbliżał się starszy mężczyzna ubrany na czarno, z czarnym kapeluszem na głowie. Otworzył kluczem drzwi do kaplicy i powoli rozglądając się wokoło, wszedł do środka. Po chwili zatrzasnął drzwi i przekręcił kluczem w zamku. Na cmentarzu nastąpiła głęboka nocna cisza przerywana co jakiś czas lotem czarnych nietoperzy i miauczeniem dzikich kotów.

Tej samej nocy na plebanii w jednym z pokoi dla gości grano w karty i wesoło rozprawiano o życiu i śmierci. Przy dębowym, dużym, okrągłym stole siedziało trzech mężczyzn. Jednym z nich był gruby miejscowy ksiądz proboszcz Janicki, a dwaj pozostali to jego dawni szkolni koledzy: inżynier Gądecki i doktor Marczyński. Spotkali się oni, jak co roku, o tej samej porze i tym razem celowo spędzali czas razem około północy.

— Jeszcze pięć godzin do wschodu słońca, zatem czekamy i gramy dalej — powiedział spokojnie ksiądz proboszcz Janicki.

— Czas zleci szybko. Już wiele razy zauważyłem, że przemija on coraz szybciej z wiekiem. Czas przemija i zbliża się śmierć — dodał inżynier Gądecki.

— Śmierć i trup to rodzeństwo syjamskie — zaśmiał się doktor Marczyński.

— Tak przyjaciele, to znamy, ale wiemy też, że na tym można zarobić. Nasz zakład stoi i czekamy do piątej, a potem dowiemy się, co z sobą uczynił nasz kolega — wtrącił się proboszcz.

W kaplicy cmentarnej panował mrok cichej nocy oświetlanej srebrnym blaskiem księżyca i przerywanej z zewnątrz dochodzącymi jękami kotów oraz szumem wiatru. W trzecim rzędzie ławek siedział ów na czarno ubrany mężczyzna. W tej ciszy i samotności zasnął głęboko. Po jakimś czasie ocknął się, wstał i wpatrując się w otwartą trumnę, podszedł do katafalku. Dotknął drżącymi rękoma brzegu trumny. Zamarł na chwilę z przerażenia, bo zobaczył jej puste wnętrze, a jednocześnie za sobą usłyszał odgłos kroków.

O godzinie piątej proboszcz i dwaj jego goście opuścili plebanię i poszli w stronę cmentarza. Podeszli do

kaplicy i proboszcz zastukał mocno w drzwi. Nikt nie odpowiadał, a przecież byli przygotowani na to, że ktoś się odezwie. Mieli tam spotkać się z tym na czarno ubranym mężczyzną, który około północy zamknął się w kaplicy. Po dłuższym stukaniu do drzwi zdecydowali się na rozbicie szyby w oknie, aby tą drogą wejść do środka. Tak też się stało i kawałki szkła rozsypały się, a inżynier Gądecki przy wsparciu towarzyszy dostał się do wnętrza.

— Tu nie ma nikogo żywego! — zawołał przerażonym głosem inżynier i podbiegł do drzwi w nadziei, że może uda się je otworzyć. Drzwi były zamknięte, a w zamku nie było klucza.

Dwaj pozostali towarzysze wspięli się po murze i też weszli do wnętrza kaplicy. Pełnym przerażenia wzrokiem szukali jakichkolwiek śladów obecności tego na czarno ubranego mężczyzny. Wtem proboszcz sięgnął do kieszeni i wyjął z niej pudełko zapalek. Szybkim ruchem zapalił jeden ze świeczników stojących przy trumnie. W tym momencie owi bohaterowie wieczornej gry w karty i nocnych rozmów o życiu i śmierci zamarli. Tak silnie zbledli, że własnym widokiem przeraziliby nawet grabarza o najmocniejszych nerwach, znawcę trupów i specjalistę od pogrzebów. W trumnie leżał martwy na czarno ubrany mężczyzna — właśnie ten, który o północy wszedł do kaplicy.

Po chwili proboszcz ocknął się z przerażenia i zapalił pozostałe świece przy trumnie, a ich światło rozświetliło wnętrze kaplicy, potwierdzając brak jakichkolwiek śladów po nieboszczyku przygotowanym do porannego pogrzebu.

— Nic tu po nas! Nie mamy wyjścia. Dostyc żartów. Sprawa jest nie do wyjaśnienia. Ta zamiana ciał może nam narobić kłopotów. Nikt nie może się dowiedzieć, co to za trup tu leży. Trzeba wieko przybić do trumny, i to mocno. Z rana przyjdę i zadbam o to, żeby nikt nie próbował otwierać i żeby szybko pochować. Jako powód podam, że po prostu szkoda czasu na dłuższy pochówek, bo to był przecież jakiś biedny człowiek. Ludzie to zrozumieją i na pewno w ich przekonaniu będzie to pogrzeb jakiegoś naszego samotnego parafianina. Nikt nie zwróci uwagi, że to inny nieboszczyk — powiedział stanowczo proboszcz.

Przeszło rok później inżynier Gądecki i doktor Marczyński siedzieli wieczorem w towarzystwie księdza proboszcza Janickiego przy stole na plebanii, lecz tym razem byli bardzo smutni, a nawet przerażeni.

— Przyjaciele! O śmierci nie można mówić na wesoło i nie powinno się na niej zarabiać pieniędzy — stanowczo oznajmił ksiądz proboszcz Janicki. — Ten nasz zakład o wytrwałe czuwanie w nocy przy nieboszczyku doprowadził do utraty życia naszego wspaniałego kolegi. Było nas czterech. Trzech z nas założyło się z nim, czy wytrwa on przy trupie do rana w kaplicy cmentarnej. On zakład przegrał i w tajemniczy sposób przyplacił to życiem. Pieniądze z tego zakładu przeznaczymy na pomnik dla niego, chociaż spoczywa pod innym nazwiskiem. Dziwne pozostaje to, że jako ksiądz muszę wierzyć w zmartwychwstanie ciał, ale nigdy nie wyobrażałem sobie tego w ten sposób: że mój samotny i mało komu znany parafianin zmartwychwstanie i zniknie. Daj Boże, aby na wieki!

Zegar wybił już północ i wiał wiatr, a księżyc oświetlał miasto, plebanię i kaplicę cmentarną. Swoim srebrnym blaskiem oświetlał tych, którzy jeszcze żyją, tych, którzy umarli, i tego, który w tajemniczy sposób zmartwychwstał. A wokół latały duże, czarne nietoperze — zapowiedź spraw niesamowitych, tajemniczych i diabelskich.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marek Sikorski, dodano 23.10.2021 11:31

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.